

The background is a detailed pencil sketch of a stone building. It features a wooden balcony with a railing in the upper part. A figure in a long, hooded cloak and a pointed hat stands in the foreground, holding a sword. The figure's face is partially obscured by the hood, with only two small circles for eyes visible. The building's walls are made of rough-hewn stones, and there is a wooden door with a diamond pattern behind the figure. To the right, a set of stairs leads up to the balcony. The overall style is that of a hand-drawn illustration.

# GRA MIEJSKA 2019 (NIE)SŁAWNY LUBLIN

MATERIAŁY DO ZAPOZNANIA  
SIĘ PRZED GRĄ

LUBLIN, 12 CZERWCA 2019 R.

GODZ. 11:00

## Spis treści

Wspomnienie 1: .....	3
Wspomnienie 2: .....	4
Ciekawostki:.....	5
Wspomnienie 3: .....	5
Wspomnienie 4: .....	7
Wspomnienie 5: .....	7
Wspomnienie 6: .....	8
Wspomnienie 7: .....	10
Wspomnienie 8: .....	11
Wspomnienie 9: .....	12
Semadeni.....	13
Wspomnienie 10: .....	14
Wspomnienie 11: .....	16
Wspomnienie 12: .....	17
Wspomnienia 13: .....	18

## Wspomnienie 1:

Niektórych dziennikarzy ceni się jedynie dlatego, że umieją władać językiem ulicy i języka tego używają w kronice, co publiczność bawi jako dowcip. Niektórzy poeci, szczególnie tzw. proletariaccy, chętnie sięgają po te wyrażenia dla nadania rumieńców swoim „suterynom”.

Istotny, jest w języku ulicy pewien swoisty urok. Pierwszość określenia, świeżość, daje nowe cechy pojęciom, remontuje je gruntownie. Poza tym specyficzne warunki życia ulicy sprzyjają tworzeniu się nowych pojęć i modyfikowaniu już istniejących, co pociąga za sobą znowu wzbogacenie języka. Zasadniczą cechą języka ulicy jest jego elastyczność i żywotność. Zmiany, które w języku literackim dokonują się w przeciągu kilku dziesięcioleci, w tym wypadku zachodzą na przestrzeni kilku lat.

Lublin, którego obszar jest stosunkowo niewielki, wykazuje słabe różnice między gwarami poszczególnych przedmieść. Mniej więcej te same zwroty, które są w użyciu na Wieniawie, kursują i na Kalinowszczyźnie. Rozsadnikiem wyrażen i zwrotów używanych powszechnie wśród proletariatu ośrodków przemysłowych są przedmieścia Bronowice i Cukrownia, na których istnieje ożywiony ruch ludności w związku z ich przemysłowym charakterem.

Ostatnio język ulicy przedostał się na Krakowskie Przedmieście, na którym spędza dni całe gromadka chłopców pod dowództwem Olka z Chełma. Od członków tej gromadki „pętających” (żebrzących) uzyskałem większość materiału do niniejszego szkicu. Całokształt języka ulicy w Lublinie wraz z jego subtelnościami fleksyjnymi i stylistycznymi to zagadnienie zbyt obszerne na łamy „Trybuny”. Ograniczmy się więc do słownika.

Wśród źródeł tego swoistego słownictwa jedno z pierwszych miejsc zajmuje gwarą złodziejską, tzw. „blatna muzyka”, co wynika z bliskości świata przestępczego, napiętnowanego wyrokami, ze światem ulicy, balansującym na krawędzi rzeczy zakazanych. Droga psychologiczną, przez którą przenikają owe dawne i nowe wyrażenia z „blatnej muzyki”, jest stosunek dzieci i młodzieży przedmieść do przestępców, którzy z jednej strony zohydzeni przez tzw. wychowanie, z drugiej są imponującymi, bo żywymi przykładami wyrośnięcia ponad otoczenie. Zabawy w policjantów i złodziei, tak popularne wśród dzieci wszystkich sfer, mogą być momentem osnowy językowej.

Słownik: ment – policjant, sztory – karty, sitwa dola – dzielić się, opchnąć – sprzedać, jardyga – starszyzna, wałówka – żywność, melina – mieszkanie, kosa – nóż, wreszcie powszechnie znane: wyspa, dolina, spluwa, poruta – wzięte są bezpośrednio z „blatnej muzyki”.

Jedzenie jest ważną rzeczą dla ulicy, toteż istnieje duża ilość związanych z tym wyrażen, a nawet niektóre pojęcia określone są przez kilka równoległych terminów. Jeść to nie tylko wtrajać, ale i frygać, wpulać, ckać. Kolba – kiełbasa, chleb – dynamit albo koks, wacha – woda są najczęściej używanymi w tej dziedzinie słowami.

Życie na ulicy, jako przeciwieństwo zorganizowanego życia szkolnego, ma dla swoich entuzjastów cenny dar: samodzielność. Na ulicy z gromadą towarzyszy, ze swoją „ferajną” nie jest się malcem, którego starsi raz po raz pouczają i strofują. Żyje się pełnią życia, ma się głos w swoim społeczeństwie, przeżywa się wzloty i upadki, jest się wodzem lub szeregowcem legionu, jest się sobą dla siebie, nie dla przyszłości, ku której droga daleka. Rozbrat ze szkołą podkreślają specjalne wyrażenia: wagary, labować. Człowiek samodzielny musi mieć pieniądze. Różne są sposoby ich zdobycia: pętanie – czyli żebranina, chodzenie na kojło – kradzież węgla z wagonów kolejowych, sprzedawanie podręczników szkolnych w żydowskiej księgarni („opchnąłeś knipy?”, „spuściłeś cyrkiel”), niekiedy są to rzeczy mające jeszcze mniej wspólnego z ogólnie przyjętą moralnością.

„Forsa” to ważna rzecz. Złotówka nazywa się katniak lub katusz, 10 groszy – dyska, 5 groszy – pinder lub pindrak. Na Kośminku nie mówią „forsa”, lecz „sarmaki”.

W związku ze zdobyciem „sarmaku” idą przyjemności z posiadania pieniędzy, można „siepać” sztory (grać w karty), jarzyć dulce – palić papierosy, uderzyć w popijochę – pić wódkę, taranić się dokiniaka – iść do kina, kupić koki (gołębie) albo skawyrka (pieska), wreszcie zapałki, aby na ławkach podmiejskich „garadyczyć” – palić ognisko. Przyjemności darmowe: bachać się – kąpać, cykać – grać

w piłkę, pyrgać mondzie (inaczej „guzica”) – grać w guziki, no i... wchodzenie do kina lub cyrku „na słonia” – za darmo.

O nieprzyjemnościach, wynikających z negatywnego stosunku do szkoły, moralności społeczeństwa dorosłych etc. świadczą terminy: tendo drzyj fraka, mento [albo] manto, rajzować – określające ucieczkę oraz efektowne wyrażenia: kuca – boi się, nawalunek – niebezpieczeństwo, smalić – bić, knaga albo paragraf – kij, pyrgać się – rzucać, kopsy – bójka, karnal – kamień, podfanarzyć – podbić oko itp.

O ludziach można mówić rozmaicie: obojętnie, pogardliwie lub z odcieniem pochwały. Ten ostatni typ reprezentują określenia: szemrany, oblatany, morus, cwaniak, fetniak, swój. Pogardliwych jest znacznie więcej, np.: frajer, garbuła, zołza, łach, oprych, walet, pała itp. Obojętny charakter, mimo pozorów, mają wyrażenia: brejdak – brat, brejdaczka – siostra, fary – ojciec, faroka – matka, gorący krewny – bliski krewny i zimny krewny – daleki krewny, kinder – dziecko, kierdos – kierownik szkoły. Że kiejda to kieszeń, zyrgać – patrzeć, lipko – oko, kimerka – czapka, skoki – buty, grabuła – ręka, a posy to duży – warto wiedzieć.

Życie ulicy odzwierciedla się w tym słowniku wyraźnie i niemal bez reszty. Oczywiście takie błahostki, jak np. przrzucanie charakteru semazjologicznego z rdzenia na rdzeń (wymiać – jeść, napulać – iść, odpulić – uderzyć), nie mącą snu twórców nowej gwary. Nie troszczą się oni zbytnio nawet o rodzaje rzeczowników, a odmiana bywa nieraz zgoła fantastyczna, ale to właśnie jest siłą atrakcyjną tego żywego języka, to właśnie uderza świeżością poetów niezdobytających się na własne składnie i fleksje oraz dziennikarzy z tej kategorii, która w z braku talentu publicystycznego i defektów wykształcenia czepia się efektu gwary brukowej, posługując się nią, niestety, nie tak jak legion ulicy.

## Wspomnienie 2:

Legenda, która czeka na swojego odkrywcę. Tajemniczy świat podziemnego Lublina może się stać wielką atrakcją turystyczną. Znalezienie w domu Nr. 3 na Rynku w Lublinie starej winiarni, pokrytej freskami i malowidłami, wywarło wielkie zainteresowanie wśród szerokich warstw mieszkańców naszego miasta. Nowy konserwator lubelskiego urzędu wojewódzkiego p. dr. Dutkiewicz, czyni energiczne poszukiwania, mające na celu wykrycie drugiej winiarni, która według wskazówek zawartych w materiałach archiwalnych, powinna się znajdować w podziemiach lubelskiego Trybunału. Chcąc dowiedzieć się czegoś konkretniejszego na ten temat, grupa dziennikarzy oraz osób interesujących się tą sprawą udała się w dniu wczorajszym na zwiedzanie lochów pod Trybunałem. Po szerokich, nagryzionych zębem czasu, schodach schodzimy w głąb mrocznych sklepień. Skąpy blask świecy toruje drogę. Na dole ciągnie się coś w rodzaju korytarza, po obu stronach którego widać wnęki obramowane resztkami futryn. To starodawne więzienie śledcze. Tu zamykano ofiary. W pobliżu cel znajdowała się – głęboko pod ziemią ukryta – katownia, gdzie główny oprawca wraz ze swymi pomocnikami wydobywał za pomocą tortur potrzebne zeznania. Różne typy przestępców gościły te podziemne cele – najczęściej [byli to] oskarżeni o mordy rytualne, czarnoksiężstwo i tem podobne „zbrodnie”, jakich odpowiednika na próżno byłoby szukać w sceptycznie nastrojonej współczesności naszej. W celach widać ślady kamiennych prycz. Na nich to leżąc długie godziny, w nieustannym mroku, spędzali więźniowie, goniąc rozpaczne myśli swoje. Na murach cel znajdujemy szereg wydrapanych napisów. Odcyfrować mógłby je tylko specjalista. Są to znaki – odpowiedniki jakiś orientacyjnych języków. Kto wie kto je i w jakich okolicznościach wyrzył. Kiedyś np. w pierwszej połowie siedemnastego wieku, Lublin był bogatym centrum handlu, posiadającym międzynarodową ludność, składającą się z Greków, Persów, Ormian itp. Może więc niektórzy spośród nich, zamknięci w tych lochach, ryli te napisy? Obok celi widnieją jakieś otwory wybite w murze niedawno. Przed nimi są jakieś czeluście, świadczące, że tam dalej są dalsze rozgałęzienia, które kiedyś stanowiły zapewne jeden kompleks z podziemnym Lublinem, ciągnącym się na znacznej przestrzeni pod ulicami starego miasta i czekającym na swego odkrywcę. Uporządkowanie tych lochów i należyte ich zbadanie oraz opracowanie należytej monografii mogłyby z tych lochów uczynić wielką atrakcję dla turystów z całego kraju i zagranicy. Dałoby się to

uskutecznić, jak twierdzą znawcy, nakładem stosunkowo niewielkich wkładów materialnych.

Ciekawostki:

Jak wyglądał dzień w lubelskim więzieniu?

Zgodnie z regulaminem więziennym z 1931 roku wszyscy skazańcy, bez wyjątku, wstawali o szóstej rano! Tylko w niedziele i święta pozwalano im pospać dłużej, bo do siódmej. Po śniadaniu wszyscy udawali się na apel i modlitwę, a potem do pracy. Obiad jedzono w południe. Po popołudniowym spacerze więźniowie wracali do pracy, o 17.30 udawali się na kolację, następnie na spoczynek. W zależności od pory roku cisza nocna obowiązywała od godziny dwudziestej lub dwudziestej pierwszej.

W jaki sposób przesłuchiowano i torturowano skazańców?

Przesłuchania przeprowadzane w okresie staropolskim prawdopodobnie nie różniły się od współczesnych. Winnych wypytywano o dane osobowe, przebieg przestępstwa, historię kryminalną, współników i motyw. Tym, co je różniło, były tortury wykorzystywane do wymuszania zeznań. Przebiegały one etapami. W pierwszej kolejności próbowano złamać oskarżonego i sprowokować do zeznań, pokazując narzędzia tortur. Gdy to nie pomagało, więźnia rozbierano, sadzano na miejscach przeznaczonych do tortur i demonstrowano w jaki sposób działają narzędzia. W ostateczności przystępowano do tortur, które odbywały się na zamku (grodzka izba tortur) lub w ratuszu (miejska izba tortur). Nieszczęśników przypalano, miażdżono, rozciągano i łamano kołem. Niejednokrotnie więźniowie już na torturach kończyli życie. Zdaniem ówczesnych najlepszym sposobem na przetrzymanie ich było picie świńskiego mleka. Często dochodziło do samobójstw lub przyznawania się do niepopelnionego czynu. Tortury były ogromnym wysiłkiem także dla kata. W 1710 roku wykończyły mistrza pastwiącego się nad Żydami posądzonymi o mord rytualny. Ostatecznie tortury zniesiono za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego w 1776 roku. W nieco zmienionej formie wróciły w dobie PRL-u. Stosowano wtedy tzw. ścieżki zdrowia, wielogodzinne przesłuchania bez snu i jedzenia, oblewanie lodową wodą czy bicie do utraty przytomności, a nawet śmierci.

Jak przeprowadzano egzekucje?

Podobnie jak tortury – etapami. Najpierw następowało publiczne ogłoszenie wyroku. Bez względu na to, czy dotyczył banicji, infamii czy ścięcia, ogłaszano go zawsze na rynku miejskim. Tu też często przeprowadzano chłosty. W cięższych przypadkach kolejnym etapem był pochód za miasto, w którym brał udział skazany, kat, osoba niosąca krzyż i cała gawiedź miejska. Za Bramą Krakowską kończył się pobyt w mieście osób skazanych na wygnanie. Nierządnikom wkładano w dłoń wiązkę słomy, którą zapalano na znak, że w razie powrotu czeka je stos. Skazanych na śmierć prowadzono pod szubienicę miejską, gdzie nie tylko wieszano, ale też ćwiartowano i ścinano. W późniejszych wiekach zaniechano najbrutalniejszych sposobów uśmiercania; realizowano je poprzez rozstrzelanie lub powieszenie. I tak na przykład 19 stycznia 1930 roku za zamordowanie rodziny Adamczyków w Wojśławicach skazano na powieszenie Stanisława Jabłońskiego, w 1920 roku za napad na folwark skazano na rozstrzelanie lublinianina Józefa i chełmianina Szłomę. W dwudziestoleciu międzywojennym wyroki sądów doraźnych wykonywano na Górkach Czechowskich. Może nas to dziwić, ale dopiero w 1998 roku zlikwidowano w Polsce karę śmierci, choć jej wykonywania zaniechano już w 1988 roku.

### Wspomnienie 3:

Lublin posiada niedocenione dla badacza dawnych wieków skarby, które spoczywają obecnie w zapomnieniu. Jednym z nadzwyczaj ciekawych zbytków dawnego Lublina, do obecnej chwili zupełnie niezbadanych, są lochy lubelskie. Cała masa legend, które krążą wśród ludności miasta, a oprócz tego widocznie dowody ich istnienia (wejście do lochów w Ogrodzie Saskim, u Dominikanów i w niektórych domach na starym mieście) stanowią chyba dostateczny powód, aby się tą sprawą zainteresowały odpowiednie czynniki, przede wszystkim zaś istniejące Towarzystwo Ochrony Zabytków Przeszłości.

Zaczęto od lochu, do którego wejście znajduje się w Saskim Ogrodzie, a który prowadzi według legendy do Zamku, a następnie aż do Sandomierza. Wejście na razie bardzo trudne (trzeba iść prawie na czworakach), jednak po przejściu kilkudziesięciu metrów wchodzimy do dużej sklepionej łukowato krypty, o rozmiarze kilkunastu m<sup>2</sup>. Stamtąd rozchodzą się w trzech przeciwnych kierunkach korytarze. Jeden z nich kieruje się w stronę łąk i jest w dalszej swej części zalany wodą podskórną, drugi idący w stronę koszar zachodnich jest w stanie zniszczenia. Pozostaje trzeci prowadzący w kierunku miasta, którym ruszyliśmy naprzód, a który sprawiał wrażenie najbardziej bezpiecznego. Po przejściu kilkunastu metrów loch zwęził się do tego stopnia, że dalsza droga była bardzo utrudniona, musieliśmy pełzać. Zawróciliśmy więc z powrotem. Krypta jako też i korytarze zbudowane z okrągłych i płaskich kamieni; gdzieś tam trafiła się również cegła. Stan lochów bardzo zły, grożący zupełnym zawaleniem. Następnie udaliśmy się do kościoła po Dominikańskiego, gdzie za ołtarzem miało się znajdować wejście do podziemi. Zakrystian wskazał nam schody, wiodące do wielkiej piwnicy, tuż pod głównym ołtarzem, lecz ku naszemu rozczarowaniu loch, który tam miał się zaczynać, był świeżo zamurowany. Zapytany o powody zamurowania lochu zakrystian odpowiedział, że nastąpiło wskutek dokuczliwości „strachów”, które miały jakoby wyprawiać szalone harce. Próbuąc szczęścia udaliśmy się do gmachu po-Dominikańskiego, gdzie Siostry Szarytki łaskawie pozwoliły nam zbadać piwnice. Tam to nareszcie znaleźliśmy pewne zadowolenie swych zawiedzionych nadziei. Po wejściu do korytarza piwnicznego, który służył za skład przeróżnych rupieci, zauważyliśmy, opukując ściany, głuchy oddźwięk pod naszymi stopami. Zaczęliśmy podważać płyty kamienne tworzące podłogę; po wyjęciu kilku z nich ukazała się czarna czeluść jakiegoś lochu. Po zbadaniu głębokości lochu zeszliśmy, a raczej zeskoczyliśmy do lochu. Był to korytarz obmurowany płaskimi płytami kamiennymi w bardzo dobrym stanie. Powietrze zupełnie wystarczające i świeże. Pomaszerowaliśmy dalej. W drodze widać było w ścianach otwory prowadzące do pięter niższych; minęliśmy kilka bocznych rozgałęzień korytarza. Bojąc się zabłądzić, gdyż nie mieliśmy prócz lampy karbidowej, dwóch kilofów i sznura, żadnych środków pomocniczych, szliśmy stale w prostym kierunku jednym korytarzem. Po przejściu około pół kilometra korytarz zakończył się ślepą ścianą; nad nami w sklepieniu ujrzeliśmy otwór, przez który dostaliśmy się do wyższego piętra a raczej do krypty. Któż opisze nasze zdumienie, kiedy ujrzeliśmy, że ściany krypty pokryte są malowidłami dobrze zachowanymi, a przedstawiającymi Matkę Boską, świętych i aniołów. Malowidła te są w stylu bizantyjskim; ściany pod malowidłami pokryte białą a raczej szarą od starości farbą. Widocznie była to kaplica, przeznaczenia której wytłumaczyć sobie nie mogliśmy. Kaplica ta znajduje się w podziemiach odmów № 13 lub 11 na ulicy Złotej, tak przynajmniej mogliśmy w przybliżeniu określić. Wiadomość o odkryciu kaplicy była w swoim czasie zamieszczona w prasie lubelskiej, lecz nie wywarła w mieście żadnego wrażenia i nie spowodowała fachowych badań tajemniczej kaplicy. Idąc dalej korytarzem doszliśmy do piwnic jednego z domów na ulicy Grodzkiej (numeru nie pamiętam), tam też wskutek zmęczenia wyszliśmy z podziemi.

Na zakończenie chcę podać kilka legend, odnoszących się do lochów lubelskich, które to legendy słyszałem od szeregu osób, mieszkańców Lublina i okolicznych wsi. Według jednej z legend, pod Lublinem znajdują się lochy trzy i cztero-piętrowe (dwupiętrowe znaleźliśmy w czasie naszej wycieczki) to znaczy mające trzy kondygnacje jedna nad drugą. W lochach tych pod przedmieściem Czwartek mieszczą się ponoć groby pierwszych założycieli Lublina, groby zbudowane ze złota i srebra. Ogromne skarby, które się tam znajdują, oczekują śmiałka zdobywcy. Wejście do korytarza, prowadzącego do tych podziemi, znajdować się ma na placu Litewskim.

Druga z legend twierdzi, że z Lublina wychodzi loch ciągnący się aż do Sandomierza i Krakowa – pewne dane potwierdzające możliwość egzystencji tego korytarza stwierdziłem bawiąc w Sandomierzu.

W roku 1919 zdarzył się w Lublinie, według opowiadań ludności, następujący wypadek. W jednym z domów na tzw. „Żydach” murarz poprawiał piwnice i w jednej z nich natrafił na otwór w ścianie, prowadzący do jakiegoś korytarza. Powodowany ciekawością ruszył na poszukiwania. I zginął. Na próżno go poszukiwano. Ci, którzy podążyli po pewnym czasie za nim, natrafili na taki

labirynt przecinających się lochów, zawrócili, nie mogąc się odważyć na dalsze poszukiwanie. Po upływie kilku tygodni żołnierze w koszarach zachodnich, kopiąc doły, natrafili na wejście do lochów, w których ku swemu zdumieniu i przerażeniu znaleźli na pół rozłożone ciało owego murarza. Z pod „Żydów” aż do zachodnich koszar wędrował pod ziemią nieszczęsny człowiek. Co za strach i rozpacz musiały go w obłądnym szale gnać zagubionego po przez czarne i wilgotne podziemne korytarze. Lochy lubelskie tworzą jakby drugie miasto. Nikt się jednak o zbadanie tych tajemnic nie kusi, nikogo one zdają się nie obchodzić i lochy lubelskie stają się powoli pastwą czasu i zniszczenia.

M. Gozdawa, *Tajemnice lubelskich podziemi*

## Wspomnienie 4:

W 1470 roku po raz pierwszy pojawia się wzmianka o murowanej „kamienicy” obronnej, którą ufundował Piotr Koniński. Usytuowanie budowli sprzyjało jej ewentualnej obronie. Od południa broniły jej stawy oraz zabagniona dolina rzeki Czechówki. To fortalicjum w XVI wieku było własnością bogatych lubelskich mieszczan Lubomelskich, dlatego miejsce, gdzie się znajdowało, nazwano Lubomelszczyzną. W XVI i XVII wieku rozbudowywano to założenie obronne. Ostatecznie swój kształt otrzymało w 1671 roku. Niestety, w 1681 roku fortalicjum uległo zniszczeniu. W XVIII wieku właścicielami zamku była rodzina Tarłów. Pod koniec XVIII stulecia miała miejsce katastrofa budowlana – zawaliło się sklepienie w jednej z komnat zabijając trzy panny. Od tego czasu zamek zaczął popadać w ruinę. Jego malownicze resztki utrzymywały wielu malarzy i rysowników. Jednym z nich był Adam Lerue. W 1906 roku na miejscu ruin zamku powstał kościół mariawitów. Został rozbudowany w 1924 roku i w takim kształcie pozostaje do dzisiaj. Najprawdopodobniej jedynym ocalałym fragmentem zamku pozostaje wejście do piwnic w skarpie rzeki Czechówki, lecz co do murowanej budowli w skarpie istnieją także inne teorie.

Legenda głosi, że przed laty mieszkał tam możny pan i jego nadobne córki wraz z innymi pannami jednego dnia miały być wszystkie wydane za mąż. W czasie uczty było tak wielu biesiadujących, że „sklepienie górnego piętra runęło aż do lochów podziemnych”. Wszystko i wszyscy zostali pogrzebani w gruzach. Wydarzenie to miało mieć miejsce w czasie pełni księżyca i wskutek tego „na każdej pełni w poświecie letniej, w godzinach północnych, widywano pięć panien kąpiących się, wskutek, że córki dziedzica każdego dnia kąpały się w tym stawie, a mianowicie też w przeddzień wesela, w zwaliskach zaś dawała się słyszeć wesoła lecz głucha kapela, gwar biesiadujących, a potem jęki żałobne”.

Śmierć poniosły wtedy cztery panny szlacheckie Gertruda Poniatowska, Marianna Górka, Katarzyna Zaniewska, Marianna Dębowska oraz służąca – Marianna. Pochowano je następnie w lubelskim kościele dominikanów, najprawdopodobniej w "grobie po prawej stronie" świątyni.

## Wspomnienie 5:

Chcąc umiejscowić w czasie pojawienie się w Lublinie pierwszego kata, należałoby przyjąć, że miało to miejsce około roku 1428. Pod tą datą kryje się dokument odnoszący się do porozumienia zawartego pomiędzy władzami Lublina, Opatowa oraz Sandomierza odnośnie opłacania jednego mistrza.

Posiadanie własnego kata było dla Lublina przywilejem, przynoszącym miastu również pewne dochody. Urzędnik ten był bowiem wynajmowany przez inne miasta, które zobowiązane były płacić czynsz za świadczone przez niego usługi. Lista miast zobligowanych do uiszczania takiej opłaty była niemała, toteż kasa Lublina mogła liczyć na stały przyrwy funduszy, a tych na utrzymanie kata potrzebowano całkiem sporo.

Jak każdy urzędnik miejski pobierał on stałe uposażenie, które w przypadku kata płacone było w systemie kwartalnym i tygodniowym. Oprócz opłat za stałe usługi, miasto otaczało kata dodatkową opieką. Dla przykładu władze wypłacały mistrzowi dodatkowe sumy pieniężne z okazji świąt (Wielkanocy oraz Bożego Narodzenia), a także narodzin dziecka.

Początkowo do połowy XVII wieku lubelski kat zamieszkiwał dom przy baszcie Czerwonej (Rybnej), dopiero później przeniesiono go, oczywiście na koszt miasta, do nowego domu przy baszcie Mistrzowskiej (dawnej Wesolej). Kolejnym lokum małodobrego była kamienica Stegłowiczowska przy ulicy Rybnej, gdzie mieszkał od 1662 roku. Ostatecznie zaś pod koniec XVIII wieku usunięto jego domostwo poza obręb murów miejskich. Dla przykładu za wysprzątanie „sklepu pod ratuszem, gdzie więźnie sadzają” płacono mistrzowi 2 grosze. Innym razem za to samo zajęcie z dodatkowym zakupieniem świec, kat otrzymać miał 4 grosze. Pewne sumy otrzymywać miał mistrz za oczyszczanie miasta z padłych zwierząt.

W 1574 roku – po wielkim pożarze – za wywiezienie z miasta spalonych psich truchł zapłacono mu 10 groszy. Najwięcej zaś płacono za wywiezienie zdechłych koni lub bydła rogatego. Dla przykładu w 1602 roku kat dostał za to 3 złote. Do tych wszystkich już wystarczająco nieprzyjemnych obowiązków dochodziło jeszcze grzebanie skazańców, samobójców, topielców, a także wszelkich ciał znajdujących się w stanie głębokiego rozkładu. Należy pamiętać, że niegdyś na zasadzie pouczającego przykładu umieszczano na granicach miasta rozczłonkowane ciała zbrodniarzy lub też huśtających się na wietrze wisielców. Nie pozwalano im spocząć w ziemi aż do momentu, gdy przegniły sznur nie wytrzymał podmuchów wiatru lub ciało rozsypało się, spadając na ziemię. Dopiero wówczas do akcji wkraczał któryś z katowskich pomocników i zakopywał zwłoki, oczywiście w niepoświęconej ziemi. I tak dano 15 groszy w 1603 roku „od trzech trupów pochowania co ich wiatr urwał”.

„[...] Więc tak będzie wisiał,  
Na wietrze i ná deszczu będzie się kołysał.  
Bez pogrzebu i onej ostatniej posługi  
Będzie wiatrom bezecne igrzysko czas długi.  
Więc się tam wronką pásie koło dusienice,  
Á kruk ledwo skrzepłemu ma się do żrenice [...]”.

Niezwykle ciekawy jest również symboliczny wymiar granicy w mieście. Umieszczanie właśnie tam ciał zbrodniarzy było nieprzypadkowe. Z jednej strony oczywiście służyć to miało odstraszeniu potencjalnych złoczyńców, każdemu bowiem, kto ma coś na sumieniu serce zabije szybciej na tak odrażający widok, z drugiej zaś można zastanowić się jak ówczesny człowiek patrzył na przestrzeń znajdującą się poza sferą miasta. Miasto było miejscem stosunkowo bezpiecznym, znajdowały się tutaj budynki sakralne, teren ten był więc uświęcony. Wtargnięcie złoczyńcy na to terytorium wiązało się z naruszeniem nie tylko zasad panujących w mieście, ale i mogło być poczytane za naruszenie własności. Za tym natomiast postępowała kara. Dlatego też wiszące na rozstajach zwłoki były ostrzeżeniem przed złamaniem pewnego tabu i groźącą za to klątwą.

## Wspomnienie 6:

Życie w mieście, w dużych skupiskach ludności, często wiązało się ze zwiększoną zachorowalnością. W czasach, gdy nie istniały organizacje publiczne zajmujące się ochroną porządku i dbaniem o stan sanitarny miasta, często dochodziło do różnorodnych nieszczęść. Stale gęstniejąca zabudowa wzdłuż Czechówki prowadziła do sytuacji, w której wszystkie nieczystości z miasta i przedmieść spływały do lokalnych rzek. Część z nich wpadała do Wielkiego Stawu Królewskiego, a reszta do Bystrzycy. Zanieczyszczenie wody nie było jedynym problemem mieszkańców – był nim także wszechobecny smród. Na „lubelski zapach” składały się nie tylko błoto i nieczystości płynące ulicami, ale także dymy z kominów i jatki rzeźnicze. Niezwykle wyniszczające były pożary wzniecane z niedbalstwa lub z przypadku, które niejednokrotnie pożerały całą zabudowę miasta, niszcząc dorobek życia mieszkańców i pochłaniając setki ofiar. Dlaczego w ogóle dochodziło do epidemii?

Bo w mieście było brudno. Śmieci stanowiły pożywkę dla bakterii, a te uwielbiają wilgoć i ciepło. Zapewne właśnie takie środowisko wykrystalizowało się w zanieczyszczonych wodach otaczających Lublin oraz na terenach okolicznych łąk. Brudna woda była pita i wykorzystywana

w gospodarstwach domowych. Jedzono skażone ryby poławiane w Wielkim Stawie Królewskim. W Lublinie prawdopodobnie były głębokie studnie, ale uboga ludność z pewnością korzystała z tych płytkich, sięgających wód gruntowych. Brak było kanalizacji w mieście, zalegały śmieci, błoto oraz wylewano przez mieszczan nieczystości z okien wprost na ulice. Nie wiadomo czy podobne sytuacje miały miejsce często, ale jeśli wierzyć źródłom, w 1773 roku w okolicy pałacu Czartoryskich leżały zwłoki ludzkie podgryzane przez miejscowe psy. Można tylko wyobrazić sobie fetor, który unosił się nad miastem. Ponadto niemałym problemem było dzielenie przez biedniejszych obywateli przestrzeni mieszkalnej ze zwierzętami hodowanymi, takimi jak świnie, bydło, owce czy kury. Ludzie i zwierzęta nie tylko więc spali, ale także jedli w tych samych pomieszczeniach, co z pewnością odbijało się na ich stanie zdrowia. Brak higieny osobistej narażał ludność na stały kontakt z zarazkami i nieuchronnie prowadził do chorób. Zakażeniom sprzyjało też gęste osadnictwo w obrębie murów miejskich.

Kiedy wybuchały zarazy?

W okresach wzmożonej podatności na choroby, zwłaszcza w czasie wojen, nieurodzajów i klęsk głodowych. Zakażeniom sprzyjały też kontakty z przybywającymi do miasta kupcami, włóczęgami, pielgrzymami, wojskiem i chorymi zwierzętami. Oczywiście pośrednich przyczyn rozprzestrzeniania się chorób wówczas nie znano. W 1711 roku oskarżono trzech grabarzy o przeniesienie dżumy z Warszawy do Lublina. Mieli oni smarować klamki miejskich domów maścią przygotowaną z mózgów zarażonych nieboszczyków. Na torturach oskarżeni przyznali, że postąpili w ten sposób, aby zapewnić sobie dodatkową pracę. Ta informacja znajduje potwierdzenie u Wespazjana Kochowskiego, osiemnastowiecznego historyka. Według jego relacji takie procedury były powszechnie znane. W XVII wieku miały istnieć nawet całe szajki roznoszące zarazę i rabujące co bogatsze domostwa, czasem nawet dopuszczające się podpaleń całych miast, w celu „oczyszczenia powietrza”. Choć uznaje się, że szalejąca w XIV wieku w Europie czarna śmierć, czyli dżuma, ominęła nasz kraj, wydaje się, że informacja o wybudowaniu w mieście w tym okresie pierwszego szpitala może wskazywać na to, że jednak i tu zagrożenie było realne. Jedną z największych lubelskich zaraz miała miejsce dopiero w 1572 roku. Nie tylko zdziesiątkowała ludność, ale także zahamowała na pewien czas rozwój handlu. Zagadką pozostaje odpowiedź na pytanie, czy zaistniało w mieście jakieś wydarzenie, które ją wywołało, czy została przyniesiona z zewnątrz. Do kolejnej epidemii morowego powietrza doszło w 1592 roku. Następne miały związek z nawrotami tzw. dżumy mediolańskiej. Do Lublina dotarła ona w latach 1620, 1622, 1623–1625, 1627–1630, 1635, 1641, 1645, 1650, 1652, 1657–1658 i 1677–1678. Do epidemii dżumy dochodziło także w latach 1695, 1707–1712, 1715, 1720 oraz 1736–1737. W XIX wieku ludność Lublina dziesiątkowała cholera zbierająca swe żniwo w latach 1827–1831, a także 1855 i 1892. Wojny światowe przyniosły kolejny nawrót cholery oraz tyfus, które pojawiły się w latach 1915 i 1942. Te pomory nie były już tak tragiczne w skutkach. Lepsze warunki sanitarne, rozwój nauk medycznych i upowszechnienie lekarstw sprzyjały walce z chorobami.

Czy podczas pomorów w mieście umierali wszyscy?

Oczywiście że nie. Umierała przede wszystkim biedota miejska i bezdomni, a także starcy i dzieci. Co bogatsi, dożywieni i bardziej dbający o higienę osobistą mieli większą szansę na przeżycie, zwłaszcza że stać ich było na opłacenie opieki medycznej i odseparowanie domostwa od szalejącej zarazy. Oni także rzadko pili wodę, a ich głównym napojem były trunki: piwo, wino, czasem też soki. Inną grupę ludzi mniej podatnych na zarażenia stanowili Żydzi. Wynikało to po części z zasad religijnych i stosowanej przez nich diety. Nie ukrywajmy, starozakonni bardziej dbali o siebie niż ich chrześcijańscy sąsiedzi. Mężczyźni żydowscy odwiedzali łaźnię przynajmniej raz w tygodniu przed szabatem, urzędnicy przepisujący Torę, tzw. sojferzy, korzystali z mykwy przed rozpoczęciem pracy, a kobiety zażywały kąpeli zawsze po porodzie i menstruacji. Dbano o czystość, dieta bogata w cebulę i czosnek zmniejszała ryzyko zachorowań epidemicznych. Zdarzało się jednak, że śmierć zbierała swe żniwo zarówno wśród Żydów (1572, 1695), jak i bogatych lublinian, czy rajców miejskich (1652).

Czy starano się im przeciwdziałać?

Tak, ale bardzo późno, bo dopiero w XVII wieku. Odpowiedzialna za stan miasta była Rada Miejska i ona też w 1614 roku zwróciła się do lubelskich rzeźników, aby nie wyrzucali nieczystości na wał i drogę. W 1633 roku Rada Miejska nakazała żydowskim szochetom przenieść rzeźnię z Podzamcza ze względu na smród dochodzący aż pod lubelski zamek. W 1615 roku zakazano handlu owsem i sianem przy Bramie Krakowskiej. W 1618 roku podjęto bardziej radykalne kroki, przyjmując ustawę o oczyszczaniu ścieków i wywożeniu błota z miasta. W związku z szalejącą zarazą w 1736 roku, i prewencyjnie w 1744 roku, zajęto się wywozem błota i gnoju z terenów pod ratuszem i na Korcach. Kolejną próbę podjęto w 1792 roku po nagłej śmierci lubelskiego dwunastolatka. Rada Miejska ponownie zarządziła uprzątnięcie z miasta nieczystości i udrożnienie publicznego kanału. Zakazano wówczas między innymi wylewania ścieków przez okna, a także ustanowiono dni sprzątania miasta w poniedziałki, środy i soboty. Śmieci miały znikać z przestrzeni międzyposesyjnych i ulic. Działalność magistratu utrudniali jednak sami mieszkańcy, w niewielkim stopniu stosujący się do tych zaleceń. W XIX wieku sytuacja zmieniła się na lepsze. Zdano sobie wówczas sprawę, że aby przeciwdziałać, należy edukować. Takiego zadania podjęło się Lubelskie Towarzystwo Lekarskie założone w 1884 roku. Jego członkowie organizowali prelekcje o przestrzeganiu zasad higieny osobistej, niejednokrotnie poprzez walkę z przesadami. Z perspektywy naszych rozważań najważniejszy był wykład doktora Staniszewskiego dotyczący sposobów zapobiegania chorobom zakaźnym.

Dwudziesty wiek przyniósł nowe rozwiązania w walce z epidemiami. Postanowieniem lubelskiego magistratu w lipcu 1919 roku zakazano mieszkańcom miasta trzymania zwierząt w domach oraz mycia naczyń przy studniach miejskich. W przypadku wystąpienia jakiegokolwiek epidemii, nakazywano przemywanie rysztołów mlekiem wapiennym w każdą środę i sobotę. Dlaczego? Mleko wapienne miało bardzo dobre właściwości odkażające. Do poprawy stanu sanitarnego mieszkańców Lublina przyczyniło się również otwarcie łaźni miejskich na Bronowicach, a także rozwój medycyny, a co za tym idzie – szpitalnictwa. W dwudziestoleciu międzywojennym w naszym mieście było już osiem szpitali, w tym trzy prywatne oferujące usługi warstwie najbogatszej. Podczas epidemii duru brzuszego w okresie II wojny światowej hitlerowcy postanowili wprowadzić szczepienia przeciw durowi, czerwonce i szkarlatynie. W ten sposób usiłowali zapobiec przedostaniu się tych chorób na terytorium Niemiec. Ostatecznie rozprzestrzeniali je sami, a często też padali ich ofiarą, przenosząc ludność żydowską z miejsca na miejsce. W 1939 roku swe usługi oferowało sześć placówek medycznych. Największa z nich, kierowana przez doktora Mieczysława Biernackiego, mogła pomieścić blisko trzystu chorych. W mieście pracowało też czternastu lekarzy domowych.

## Wspomnienie 7:

Teatr imienia Juliusza Osterwy jest jedynym w Lublinie teatrem dramatycznym i repertuarowym. Ma on swoją bogatą historię - od uroczystego otwarcia w 1886 roku wielokrotnie zmieniał nazwę, kierownictwo, zespół aktorski. Niezmienna pozostaje tylko jego siedziba – budynek przy ulicy Narutowicza. Dzieje lubelskiego teatru można podzielić na kilka okresów, w każdym z nich dokonywały się zmiany zespołów, systemu organizacji pracy, mecenatu i języka artystycznego.

W latach 1884-86 przy ulicy Namiestnikowskiej (dziś Narutowicza) powstał nowy, reprezentacyjny gmach teatralny, zwany Teatrem Wielkim (obecnie jest siedzibą Teatru im. Osterwy). Otwarty 6 II 1886 roku Teatr Wielki (taka nazwa obowiązywała do 1921 roku) powstał z inicjatywy „Spółki Cywilnej Teatr Lubelski”, zawiązanej przez lubelskich przemysłowców i ziemian (m. in. z rodzin Fricków i browarników Vetterów). Teatr wybudowano przy ulicy Namiestnikowskiej (dziś Narutowicza), według projektu Karola Kozłowskiego. Był to nareszcie reprezentacyjny, elegancki i na tamte czasy bardzo nowoczesny budynek teatralny. Z okazałego westibulu osobne korytarze prowadziły na parter i trzy piętra widowni, która mogła zmieścić 671 widzów. Uwagę zwracały dekoracje wnętrz: łożo ozdobiono sztukateriami, na ścianach umieszczono medaliony z postaciami i godłami sztuk pięknych, kurtyna przedstawiała widok na Bramę Krakowską. Oświetlenie zapewniał

żyrandol gazowy o czterdziestu płomieniach. Pomiędzy sceną i widownią umieszczony był kanał dla orkiestry. Gmach przy ulicy Namiestnikowskiej miał swoje lepsze i gorsze lata, przechodził remonty i modernizacje (m. in. w latach 1896, 1921). Bywało i tak, że z powodu złego stanu technicznego i niskiej frekwencji jego działalność była zawieszana, tak jak w 1890 roku, kiedy prasa lubelska donosiła: *Teatr nasz stoi pustką, narażając na straty spółkę, która złożyła na jego wybudowania znaczne fundusze...* Natomiast sposób organizacji życia teatralnego pozostał taki, jak dotychczas – opierał się na zespołach wędrownych, tzw. towarzystwach (inaczej trupach) teatralnych. "Spółka Cywilna" na sezon zimowy (od września do marca) dzierżawiła teatr dyrektorom towarzystw teatralnych, którzy na ten czas utrzymywali stałe zespoły.

Od końca XIX wieku lubelskim teatrem kierowali: Felicjan Feliński, Henryk Morozowicz, Julian Myszkowski, Edmund Rygier, Henryk Halicki i Jerzy Siekierzyński. W okresie wzrastającej popularności dramaturgii modernistycznej wystawiano tu sztuki: Henrika Ibsena, Gerharta Hauptmanna, Stanisława Wyspiańskiego Adolfa Nowaczyńskiego, Tadeusza Rittnera, Stanisława Przybyszewskiego. Gościnne występy miały w Lublinie aktorskie sławy: Gabriela Zapolska (grająca m. in. we własnych sztukach), Wincenty Rapacki, Bolesław Leszczyński, Karol Adwentowicz, Józef Kotarbiński, Aleksander Zelwerowicz.

W 1921 roku teatr zmienia nazwę i właściciela – odtąd jako Teatr Miejski staje się własnością Zarządu Miasta. Do wybuchu II wojny światowej teatrem kierują: Józef Grodnicki, Stanisława Wysocka i Ryszard Wasilewski, Henryk i Leonia Barwińska, Stanisław Bryliński, Eugeniusz Dziewulski, oraz – po sześcioletniej przerwie – Janusz Strachocki. W Teatrze Miejskim grały gwiazdy tej miary co: Ludwik Solski, Stefan Jaracz, Juliusz Osterwa. Do historii teatru polskiego przeszedł jednak sezon 1926-27, kiedy pod wspólną dyрекcją Stanisławy Wysockiej i Ryszarda Wasilewskiego wystawiono m. in.: *Dziady* Adama Mickiewicza, *Balladynę* Juliusza Słowackiego (po raz pierwszy w Lublinie!), *Sen nocy letniej* Szekspira, *Elektrę* Hugo von Hofmannsthal. Był to sezon, w którym można było w Lublinie podziwiać kreacje sław – obok Wysockiej, także i Ireny Solskiej.

Od 1930 roku Teatr Miejski borykał się z problemami: brakowało stabilizacji finansowej, wciąż zmieniano się kierownictwo i skład zespołów. W 1933 roku miasto rezygnuje z prób utrzymania własnego zespołu teatralnego, użyczając gmach Teatrowi Wołyńskiemu z Łucka, który do 1939 roku zapewniać będzie lubelskiej publiczności stałą teatralną rozrywkę. Kierowany przez Aleksandra Rodziewiczza Teatr Wołyński był teatrem objazdowym, zorganizowany na wzór słynnej Reduty Juliusza Osterwy. Liczący około 20 osób zespół regularnie występował w miastach i miasteczkach Wołynia i Lubelszczyzny (w samym Lublinie dwa-cztery razy w miesiącu), równocześnie przygotowując dwie premiery miesięcznie! Podejmował próby ambitniejszych realizacji (*Otello* Szekspira, sztuki Gabrieli Zapolskiej, Georga B. Shawa), jednak prowincjonalna publiczność zdecydowanie wolała oglądać komedie. O sposobie działania teatru dyrektor opowiadał w lubelskiej prasie: *Mamy swoje wagony, mieszkamy w nich i prowadzimy iście cygański tryb życia. W prowincjonalnych miasteczkach grywamy nieraz na scenach, gdzie temperatura dochodzi do -12 stopni, a publiczność siedzi na widowni w futrach, paltach i okrywa się kocami.*

Ostatnimi premierami lubelskiego Teatru Miejskiego, już po rozpoczęciu II wojny światowej, w październiku 1939 roku, były dwie komedie: *Majster i czeladnik* Józefa Korzeniowskiego i *Lekkomyślna siostra* Włodzimierza Perzyńskiego. Swoje ostatnie role zagrał w nich wielki aktor scen polskich – Stefan Jaracz. Pod koniec roku teatr został przejęty przez Niemców. Do marca 1941 roku występowały tu niemieckie teatry frontowe, a premiera *Intrygi i miłości* Schillera zainaugurowała działalność stałego niemieckiego Stadttheater (Teatru Miejskiego).

## Wspomnienie 8:

Jan Michelis przed przybyciem do Lublina prowadził gospodę w okolicach Wysokiego. Podczas powstania styczniowego jeden z oddziałów powstańczych powierzył mu kasę oddziału. Jan najprawdopodobniej kasę zagarnął, a dowódcę oddziału, który przybył po jej zdeponowanie, oddał w ręce Rosjan. Po powstaniu styczniowym Michelis sprzedał karczmę i przeniósł się do Lublina. Za

zrabowaną sumę sfinansował budowę hotelu. Jego właścicielem był aż do swej śmierci w lipcu 1902 roku. Przeżył 80 lat. Zrabowanie kasy oddziału powstańczego nie było w mieście postrzegane przychylnie, a jego pogrzeb był demonstracją dezaprobaty lublinian dla takiego postępowania. Pogrzeb zbojkotowano.

Gustaw brat Jana, współwłaściciel hotelu przy Krakowskim Przedmieściu. Nazywany „Księciem Panem”. Zmarł w kwietniu 1902 w wieku 74 lat.

Wiktoria z Kołodziejczyków dziedziczka po Janie i Gustawie. W 1908 roku w bezpośredniej okolicy hotelu kupiła teren, gdzie urządzono Corso – tor wrotkarski, z czasem przekształcony w legendarne lubelskie kino. Fundatorka Schroniska dla Nauczycielek przy dzisiejszej ulicy Archidiakońskiej 7. Efektu finalnego swej fundacji nie było dane jej zobaczyć. Zmarła w marcu 1910 roku. Nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele pobernardyńskim.

Hotel Europa obecnie znajduje się na dwóch działkach, które do połowy XIX wieku wchodziły w skład ogrodu przynależnego do pałacu Czartoryskich. Przed 1864 rokiem obie parcele wraz ze znajdującym się tu dworkiem oraz ruinami spalonej łazienki należały do Antoniego Kobylińskiego. W tym samym roku zakupił je Franciszek Chobrzyński, który wystawił na nich jednopiętrową, murowaną oficynę. W 1865 roku przystąpił do budowy Hotelu Europa według projektu Ludwika Szamoty – budowniczego gubernialnego. Jego budowę zakończono w 1867 roku. Początkowo budynek był nazwany Hotelem Europejskim. Obiekt ten zamknął narożnik ulicy Krakowskie Przedmieście i wschodniej pierzei placu Litewskiego. Budynek był skromną repliką warszawskiego Hotelu Europejskiego, jednakże w Lublinie należał do jednych z bardziej reprezentacyjnych gmachów użyteczności publicznej. W chwili budowy oprócz hotelu znajdowała się w nim również restauracja oraz cukiernia. W 1868 roku hotel stał się własnością Romana Okulicza Kozaryna, a w 1885 roku należał do jego syna, Władysława. W 1887 roku budynek zakupili Jan i Wiktoria Michelisowie. W 1918 roku na mocy testamentu Jana Michelisa 3/4 nieruchomości otrzymało w spadku Lubelskie Towarzystwo Dobroczynności, a 1/4 wdowa po Janie – Zofia z Jastków Michelisowa. W okresie międzywojennym obiekt nadal pełnił funkcję hotelu z restauracją i kawiarnią. Ponadto znajdował się w nim zakład fotograficzny, fryzjerski, apteka, siedziba biura „Orbis” oraz kilka sklepów. W tym czasie przeznaczono także kilka pomieszczeń na parterze na cele handlowe, dlatego część okien w elewacji od ulicy Krakowskie Przedmieście przekształcono na witryny sklepowe. Podczas II wojny światowej częściowemu zniszczeniu uległ narożnik budynku, zaś oficyna w podwórzu została całkowicie zburzona. W 1944 roku rozpoczęto remont i odbudowę narożnika uszkodzonego podczas działań wojennych. W 1949 roku przeprowadzono remont budynku. W 1954 roku włączono sień przejazdową do wnętrza budynku, a także przeprowadzono remont restauracji. W 1971 roku nieruchomość została wpisana do rejestru zabytków.

## Wspomnienie 9:

W grudniu 1921 roku ukazał się w Lublinie pierwszy numer pisma o charakterze literackim „Lucifer”. Drugi (i ostatni) numer pisma wyszedł w marcu 1922 roku. Wśród założycieli pisma byli Konrad Bielski i Wacław Gralewski. Autorem projektów okładek był Jan Wydra. Redakcja mieściła się przy ulicy Bernardyńskiej L. 18 m. 7 (zapis adresu oryginalny). „Lucifer” drukowany był w Drukarni Udziałowej przy pl. Litewskim 1.

„Inicjatywa wydawania pisma powstała wśród grupy studentów Uniwersytetu Lubelskiego, grupa była nieliczna, kilkusobowa, lecz o dużych ambicjach i bardzo pewna siebie. [...] Na długo jeszcze przed ukazaniem się pierwszego numeru po mieście zaczęły krążyć różne gadki na temat naszego pisma [...]. Co prawda, to niewiele jeszcze widziano, ale przypuszczano coś niedobrego, a sytuacji nadawał specjalnej pikanterii fakt, że głównymi sprawcami tego bluźnierstwa, czy też herezji, mieli być wychowankowie Katolickiego Uniwersytetu”.

„Naładowany byłem pomysłami literackimi i projektami wydawniczymi. Pierwsze wyładowanie młodzieńczej energii twórczej przybrało postać osławionego «Lucifera». [...] «Lucifer» był młodzieńczą, nieprzemyślaną improwizacją, na której treść złożyły się przypadkowe materiały.

Miał charakter gromu, który był piorunem – huczał, i to szeroko, ale nie uderzał. A nam się rożyły burze i orkany, które by zmioły dotychczasowe tradycje i wyłoniły nowe kształty. Namiętne dyskusje toczyliśmy co dnia”.

„Już sama nazwa tego pierwszego w Lublinie pisma literackiego była prowokacją obyczajową o posmaku skandalicznym, szczególnie dla endeckich władz miasta i ich klerykalnych zauszników. Pismo [...] ukazało się w grudniu 1921 roku i natychmiast uległo konfiskacie za wiersz Konrada Bielskiego *Dytyramb szatański*. Inkryminowany utwór, w atmosferze narastającego skandalu jeszcze przed ukazaniem się pierwszego numeru, obrażał zdaniem władz uczucia religijne, [...]. Miejscowe władze endeckie na czele z wojewodą Moskalewskim uczyniły wszystko, by pismo nie ujrzało światła dziennego. Cały nakład pierwszego numeru skonfiskowano jeszcze przed skierowaniem go do kolportażu [...]”.

Semadeni

Mirosław Derecki: „[Obok kawiarni Rutkowskiego] egzystowała [...] w Lublinie druga cukiernia i zarazem kawiarnia Semadenich; znacznie od tamtej rozleglejsza i elegantsza, w zakupionej w 1875 r. przez braci Aleksandra i Kacpra Semadenich kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu 27, róg ul. Początkowskiej(dzisiejszej ul. Staszica).

Miejsce było wybrane idealnie. Nie tylko kawiarnia znajdowała się w pobliżu czterech najlepszych lubelskich hoteli: „Europejskiego”, „Angielskiego”, „Victoria” i „Polskiego”, nie tylko – w tym właśnie punkcie rozpoczynała się zwyczajowa świąteczna promenada wiodąca w stronę Ogrodu Saskiego, ale także tutaj, przed sąsiadującym z „Semadenim” Hotelem Europejskim istniał przystanek konnych omnibusów. Zaś od 1911 r. – sprzed kawiarni odjeżdżał pierwszy na Lubelszczyźnie międzymiastowy autobus, utrzymujący codzienną komunikację z Zamościem.

W 1917 r. lokal odkupił od Semadenich właściciel innej cukierni lubelskiej, Ignacy Domański. Wtedy zakończyła się w Lublinie „era Semadenich” trwająca ponad osiemdziesiąt lat. Tradycje dawnej firmy były jednak nadal przez nowego właściciela kultywowane.

Kawiarnię aż do roku 1946 prowadził Emilian Domański, który zmodernizował i poszerzył lokal: taras zamieniono na oszkloną werandę, a bilardy przeniesiono na pierwsze piętro”.

Julia Hartwig: „Zapamiętałam dobrze dom i podwórkę na ulicy Staszica, gdzie mieszkaliśmy. Właścicielem domu był pan Domański, do niego też należała kawiarnia „Semadeni” na rogu Staszica i Krakowskiego Przedmieścia. Była to elegancka kawiarnia w stylu wiedeńskim, gdzie można było przeczytać gazety i napić się dobrej, pachnącej kawy. W lokalu tym bywali przeważnie starsi panowie, młodzież nie miała wówczas zwyczaju chodzić do kawiarni.

Okna piekarni wyrabiającej ciastka dla „Semadeniego” wychodziły na nasze podwórkę, które wypełnione było zawsze zapachem lukru, wanilii i rumu. Zapach ten należy do wspomnień moich najwcześniejszych lat”.

Pan Rysio: „[Pamiętam cukiernię] Semadeniego z przeszkloną werandą i gazetami na kijach. Z tymi kijami to mi się przypomina taka anegdota, jak to siedzi u Semadeniego jeden Żyd i podchodzi kelnerka pytając, czego sobie życzy. A on: „Ja poproszę take czarne picze, jak ta pani ma za szczaną (babka piła kawę zaprzepierzeniem) i jeden »Kurwier Warszawski« na kiju.”

Tak, Semadeni to była reprezentacyjna cukiernia, tak samo Rutkowski, dziś „Lublinianka”. Tam nie było sztabaków, gawiedzi, przychodziła palestra, lekarze, przemysłowcy. Świetne ciastka z ciastkarni przy Kołłątaja. Ale to też nie było na kieszeń takiego młokosa”.

Swoje spotkania z Czechowiczem w kawiarni „Semadeniego” wspomina Bronisława Kołodyńska-Mossego: „Kiedy przyjeżdżał do Lublina, czasami zawiadamiał mnie i wyznaczał spotkanie w cukierni „Semadeniego”, gdzie zwykle miał dla mnie swoją książkę z dedykacją lub książki francuskie, którymi mnie obdarzał”.

## Wspomnienie 10:

1922 rok – w Lublinie pojawiają się pierwsze samochody. Dwa Fordy T w wersji pedałowej, tzn. z nożną zmianą biegów.

Przy ul. Żmigród 10 istniała szkoła szoferów Ludwika Zambellego.

Na Żmigrodzie od lat 20 – tych do 70 - tych działał zakład mechaniczny naprawy Wartburga i Trabantów własności rodziny Szwendrowskich – Antoniego, a później Włodzimierza.

Pierwsze samochody „lublin” - model Lublin-51 - produkowano na licencji radzieckiej. Pierwszy wóz zjechał z taśmy 7 listopada 1951.

Koniec XIX wieku to udoskonalenia silnika o spalaniu wewnętrznym, lżejszego i bardziej nadającego się do napędu pojazdów bez koni. Rok 1886 to symboliczne narodziny samochodu. Samochód Benza wyrusza na drogi Niemiec. Będący pod zaborami Polacy, również szybko wtoczyli się w nurt motoryzacji.

W 1897 roku Stanisław Grodzki wraz z francuskim mechanikiem i dziennikarzem ówczesnego "Kuriera Warszawskiego" startują z Warszawy do Paryża na samochodzie marki Peugeot. Przed I wojną światową szybko rozwijała się motoryzacja na terenie trzech zaborów. Podczas I wojny, Powstań Śląskich, Powstania Wielkopolskiego i Wojny 1920 roku, Polacy walczyli też na samochodach, tankietkach, itp.

W 1920 roku powstał Automobilklub Polski. W okresie międzywojennym rozwijał się sport i turystyka samochodowa. Pomimo że liczba zarejestrowanych pojazdów w tym okresie osiągnęła zaledwie ok. 50 tys., odbywały się liczne rajdy i wyścigi. Przed II wojną światową kilkanaście fabryk produkowało motocykle, montowano i wytwarzano samochody: FIAT, General Motors, Ford i Praga Oświęcim. Wybuch II wojny światowej; polskie czołgi, tankietki i samochody pancerne walczyły u Maczka i Grota-Roweckiego. Polscy automobiliści walczyli na wszystkich frontach II wojny. Okupant zabraniał używania pojazdów samochodowych; Polacy konstruowali ryksze. Lawirowały pomiędzy pojazdami konnymi i były obiektem zainteresowania lubelskiego społeczeństwa.

Kiedy w październiku 1922 roku wyjechały na ulice Lublina trzy pierwsze autobusy Lubelskiej Spółki Samochodowej, które kursowały pomiędzy dworcem kolejowym a kościołem na Kalinowszczyźnie oraz do ogrodu Saskiego, każdy chciał „choć kawałek” przejechać się nowymi pojazdami.

Pierwszą szkołę kierowców otworzył w Lublinie Ludwik Zambelli – lwowianin włoskiego pochodzenia – który był nie tylko jednym z najpopularniejszych mieszkańców ówczesnego Lublina, ale i wychowawcą wielu pokoleń kierowców oraz mechaników samochodowych. Pilnował, aby jego adepci sztuki szoferskiej wyjeżdżali na główną lubelską ulicę, Krakowskie Przedmieście, zawsze w towarzystwie instruktora. Towarzystwo szkolił znamienite: byli to hrabiowie: Koźmian z Wierzchowisk, Zamojski z Zamościa, Tyszkiewicz spod Tomaszowa Lubelskiego, Przewłocki spod Bychawy i wielu innych arystokratów.

Sam ordynat Konstanty Zamojski reklamował w Lublinie auta Hotchkiss z nadwoziem Conduite Interieure Moderne oraz Chrysler Imperial Faux Kabriolet.

Zambelli dbał o to, aby dla wykazania odpowiedniego poziomu administracji urzędnicy poruszali się breakami (czterokołowy odkryty pojazd z ławkami) lub landami (czterokołowy odkryty pojazd konny), które im zapewniał.

Ponieważ było wysokie cło na przywóz kompletnych samochodów, uznawano, że wystarczy import podwozi, a nadwozia można wykonać we własnym zakresie. W myśl tej zasady liczne zakłady wyrabiające bryczki i powozy zaczęły budować samochody. Także warsztaty samochodowe i stolarnie podejmowały się takiej produkcji. Techniczny Kalendarz Samochodowy podawał w 1932 roku dokładny „przepis” na to, jak prawie domowym sposobem skonstruować auto. W 1925 roku lubelskie Zakłady Mechaniczne E. Plage i T. Laśkiewicz uruchomiły duży oddział karoserii samochodowych i wykonywały je z dużym zaangażowaniem, wykorzystując swe doświadczenia zdobyte przy budowie samolotów.

Niestety kryzys lat 30. przerwał rozwój zakładów, a produkcję nadwozi przejęła lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych M. Wolski i S-ka, karosując autobusy na podwoziach marki Henschel. Tutejsza specjalizacja, wykonywanie nadwozi, pozostała więc w stolicy Lubelszczyzny.

Dużym wzięciem cieszyły się na Lubelszczyźnie czeskie samochody Tatra, które, mając wahlwe pólisie, pozwalały pokonywać w miarę komfortowo każde wyboje, których na tym terenie nie brakowało. Nawet w centrum miasta tylko 16 ulic było brukowanych, reszta miała luźną nawierzchnię.

Trzecią, najpoważniejszą propozycją lat 20. był samochód Ralf Stetysz (nazwę pojazdu dała kombinacja nazwy fabryki: Rolniczo-Automobilowo-Lotnicza Fabryka oraz imienia i nazwiska konstruktora). Jego konstruktor inż. Stefan hr. Tyszkiewicz opracował udane podwozie, dobrze dostosowane do jazdy po złych drogach. Będąc majątnym człowiekiem, uruchomił w 1924 roku ich produkcję, początkowo w Boulogne we Francji, a później w Warszawie. Powołano Towarzystwo Akcyjne Rolniczo-Automobilowo-Lotnicza Fabryka Hr. Stefana Tyszkiewicza i na terenie zakładu Towarzystwa Akcyjnego Konstrukcji Mostowych K. Rudzki przy ulicy Fabrycznej 3 rozpoczęto w 1927 roku wytwarzanie Stetyszów. Silniki Continental (6-cyl., 2760 cm<sup>3</sup>, 31 kW, 2600 obr./min lub 4-cyl., 1500 cm<sup>3</sup>, 14,5 kW, 2600 obr./min) montowano na miejscu w Warszawie, nadwozia wytwarzała firma lotnicza Zakłady Mechaniczne E. Plage i T. Laśkiewicz w Lublinie. Ciekawostką konstrukcyjną Stetyszów było wyposażenie ich w blokowany mechanizm różnicowy, co umożliwiało np. jazdę w grząskim terenie, osiągalną również dzięki znacznemu prześwitowi samochodu (300 mm). Te polskie samochody z powodzeniem uczestniczyły w krajowych i zagranicznych zawodach, pokazano je także w 1926 roku na Międzynarodowym Salonie Samochodowym w Paryżu. Był to debiut polskich pojazdów na tej słynnej wystawie.

W sumie we Francji i w Polsce wyprodukowano około 200 samochodów Stetysz.

Lubelska wytwórnia utworzona w 1899 roku przez Emila Plage i Teofila Laśkiewicza początkowo montowała samoloty Ansaldo, Potez, Fokker i Lublin, a kiedy ta produkcja została ograniczona i później zawieszona, w firmie Plage-Laśkiewicz od 1925 roku uruchomiono dział nadwozi samochodowych. Wytwarzano je tutaj dla samochodów osobowych oraz autobusów w liczbie 5–45 miesięcznie. Miały przeważnie drewniane szkielety pokryte blachą lub sklejką oklejaną dermatoidem, były lakierowane ręcznie, przy czym ten ostatni proces trwał nawet sześć tygodni. Wykonywano też nadwozia otwarte typu torpedo, phaeton i roadster, a przy niekorzystnych warunkach atmosferycznych zabezpieczano je rozkładanym dachem brezentowym lub skórzanym, do którego przypinano celuloidowe okna. Nadwozia wykonywano przeważnie na prywatne zamówienie, na importowanych podwoziach, a były to tak znakomite marki jak Hotchkiss, Cord, Buick, Auburn i inne. Nadwozia autobusów z tej lubelskiej wytwórni umieszczano na podwoziach Somua i Ursus. W wyniku kryzysu w latach 1933–1934 produkcję zakończono. Firmę zlikwidowano w 1935 roku, a jej sprzęt przejęła Lubelska Wytwórnia Samolotów.

Po wojnie następuje rozwój motoryzacji w Europie i Polsce. Jeździ duża liczba samochodów różnych marek wyprodukowanych przed 1945 rokiem. W Polsce zaczęto produkować motocykle: Sokół 125, SHL, WFM, OSA, WSK, Junak, itd. Zaczęto produkować samochód Warszawa, później Syrenę i Fiata. Początek lat 70-tych to prawie całkowity zanik starych samochodów z ulic naszych miast.

Pierwsze próby organizowania zlotów starych samochodów odbyły się w Katowicach, Krakowie i Warszawie. Na Rajd Warszawski w 1970 roku przybyło około stu starych samochodów, nie tylko z Polski. W Lublinie na początku lata 1973 roku redaktorzy z "Kuriera Lubelskiego": Leszek Mazurek i nieżyjący Jerzy Turżański oraz działacze Automobilklubu Lubelskiego: pp. Zofia Pieniążek i Edward Opaliński zorganizowali akcję poszukiwania samochodów sprzed 1945 roku. Popierał tę akcję ówczesny wojewódzki konserwator zabytków p. Mieczysław Kurzątkowski (na terenie starego województwa znaleziono 65 pojazdów). Były to samochody różnych marek: Hansa, BMW, Fiat, Oldsmobile, Willys, Adler, GAZ, Ford.

## Wspomnienie 11:

Nie. Zdarzało się, że nawet bardzo doświadczony kat natrafiał czasem na problemy. Posłużymy się w tym miejscu historią Stefana vel Iwanka z Litwy. Gdy świeżo upieczony katolik Stanisław przyjechał do Lublina, od razu zatrudnił się u miejscowego mieszczanina. Jego życie toczyło się leniwie i spokojnie do momentu, gdy pewnego razu został posądzony o morderstwo na podlubelskim chłopie. Sąd miejski pod przewodnictwem wójta Mikołaja Thesny uznał jego winę i skazał na śmierć. Na nic zdały się prośby, a nawet wypłata odszkodowania rodzinie ofiary – sąd i bliscy zmarłego byli nieugięci. Wyrok nakazano wykonać. Skazanego wyprowadzono na plac kaźni w okolicy kościoła Bernardynów. Kat uderzył go trzy razy mieczem w kark i... nic. Głowa nie odpadła, a na ciele straceńca pojawiły się jedynie niewielkie otarcia. Znajomi mieszczanie i cała gawiedź miejska stanęli w obronie niewinnego Stanisława, widząc w zdarzeniu rękę Boga chroniącą niewinnego. Przerażony kat uciekł i schronił się u brygidek. Zdarzenie miało miejsce w Lublinie w 1452 roku.

Gdzie znajdowała się miejska szubienica?

Lepiej byłoby zapytać „gdzie się znajduje” – mało kto bowiem wie, że szubienica lubelska stoi dalej, mimo pewnych modyfikacji w wyglądzie. Znana jest jako domek kata. Znajduje się przy dzisiejszej alei Długosza. Nie wiadomo, kiedy ją wybudowano, pewne jest jednak, że w 1595 roku drewnianą, trójsłupową konstrukcję zastąpiono murowaną wieżą, na szczycie której umieszczono dębową szubienicę. Takie informacje pozostawił po sobie wielokrotnie już cytowany Sebastian Klonowic. W XIX wieku budynek pokryto dachem i zaadaptowano na prochownię. W końcu wieku całkowicie zmienił pierwotną funkcję i został przekształcony na dom mieszkalny. Nie wiemy jak Wy, ale my na pewno nie chcielibyśmy w nim zamieszkać...

Kto zajmował się paserstwem?

Przeważnie Żydzi, w końcu to oni, z racji kontaktów handlowych, mieli najmniejszy problem ze sprzedażą przedmiotów. I tak w 1717 roku Erszek z podlubelskiego Baranowa odkupił od złodzieja klejnoty warte 120 imperiałów. Tego nielegalnego zajęcia miała się swego czasu także para katowska. Bardzo często paserzy wręcz podzegli miejscowych złodziejasków do kradzieży. Kto po kilku głębszych nie zgodziłby się na napad i podział łupu...

W jakich miejscach spotykali się bandyci?

Na melinach. Tam spali, jedli, organizowali napady i chowali łupy. W Lublinie takich kryjówek było kilka: na Czechowie, Białkowskiej Górze i Słomianym Rynku. W latach 40. XVII wieku lokale takie znajdowały się także u Ludwika Włocha przy ulicy Szpitalnej, a także u Waleriana i Zofii Grotów. Zdaniem cytowanego już Mateusza Rodaka w dwudziestolecie międzywojennym złodzieje lokowali swoje meliny na lubelskich przedmieściach. Kieszonkowcy, drobni pijackowcy i krzykacze narodowości polskiej i żydowskiej znajdowali schronienie między innymi w znanym wówczas lokalu przy ulicy Kalinowszczyzna 7. Swoją drogą znane nam do dziś określenie „melina” pochodzi ze słownika jidisz i znaczy tyle, co „schronienie nocne dla złodziei”. Skąd takie zapożyczenie? Lubelskie więzienia były pełne przestępców żydowskich, którzy bratali się z bandytami polskimi i tworzyli żargon więzienny. Takich słów, używanych w naszym języku do dziś, jest znacznie więcej.

Czy w dawnym Lublinie istniały szajki zbójckie?

Nie inaczej. Oczywiście największą grupę stanowili przestępcy indywidualni, a więc drobni złodzieje i hultaje; istniały tu także zorganizowane grupy przestępcze, posługujące się własnym żargonem. Napadały najczęściej na wędrownych kupców i zarabiały na skradzionych towarach. Bardzo często dochodziło przy tym do morderstw. W latach 40. XVII wieku szajkę zbójczą grasującą na Lubelszczyźnie prowadził Stanisław Krasicki. W początku XVIII wieku swój dwór w Lublinie miał Ludwik Poniatowski, herszt „krupy swawolnej” złożonej z weteranów wojennych. Można przypuszczać, że podobne gangi zawiązywali także okoliczni Żydzi. W 1728 roku o zorganizowanie napadu na transport słodu z Puchaczowa do Lublina oskarżono Żyda z łącznej i jego dziesięciu pomocników. Najczęściej bywało jednak tak, że na terenie Lublina i okolic grasowały bandy z innych terenów. Szajki przestępcze – polskie, żydowskie czy mieszane – nie były domeną jedynie

staropolskiego Lublina. Działający w latach 20. XX wieku bracia Motyka, Józef i Władysław, również stanowili swego rodzaju bandę zbójczą. Z relacji Róży Fiszman-Sznajdman wynika, że byli postrachem całej ulicy Lubartowskiej i okolic. Związani z półświatkiem bandyci znani byli lokalnym władzom porządkowym z hulaszczego i awanturniczego stylu życia, a także nagminnego używania noża do załatwiania szemranych interesów. Za dziesięć brutalnych napadów w 1926 roku został oskarżony dziewięcioosobowy gang kierowany przez Stanisława B. Skala przestępczość w okresie międzywojnia była dość wysoka, a zdaniem Mateusza Rodaka niemal każdy dom przy ulicy Bychawskiej miał swojego przestępcę! Nie inaczej było po wojnie. W 1945 roku działała tu sześćoosobowa grupa przestępcza, zajmująca się napadami z bronią w ręku na budynki mieszkalne. Przeprowadzone w tej sprawie śledztwo wykazało, że wśród członków znajdował się także milicjant.

## Wspomnienie 12:

Pożary były poważnym problemem, z którym lublinianie borykali się wielokrotnie. Musimy pamiętać, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu drewno było najtańszym i przez to powszechnie stosowanym materiałem do budowy domów. Łatwopalność tego budulca sprawiała, że w razie pożaru ogień rozprzestrzeniał się bardzo szybko. Zdarzało się, że cała zabudowa ulegała płomieniom, nieodwracalnie niszcząc dotychczasowy charakter miasta. Mieszkańcy w pośpiechu uciekali za mury i zostawiali cały majątek na pastwę płomieni. Pierwszy pożar odnotowany w lubelskich kronikach miał miejsce w 1415 roku. Pożary z 1447 i 1491 roku strawiły całe miasto, co do ostatniego domu. W pożarze z 1515 roku spłonął ratusz, odbudowany później w stylu renesansowym, kolejny, z 1557 roku, pochłonął Krakowskie Przedmieście. Zatem to one były największe?

Nie. Największym, a jednocześnie najlepiej opisanym w źródłach, był pożar z 9 maja 1575 roku. Tego dnia ogień strawił niemal całą gotycką zabudowę miasta i symbolicznie zakończył epokę późnośredniowiecznego budownictwa, otwierając drogę renesansowi lubelskiemu. Spłonęły wszystkie miejskie świątynie, bramy: Grodzka i Krakowska, a także większość kamienic rynkowych. Precyzyjny opis zniszczeń pozostawił po sobie Sebastian Klonowic. Zgodnie z jego relacją, z płonącej wieży świątyni św. Michała spadły, rozbijając się, zegar i dzwony kościelne. Brama Krakowska runęła wraz ze szczytem, zegarem, gankami, balustradami, schodami i strażnikami. Rozpadły się wszystkie baszty, a mury miejskie zostały ogołocone. Z Bramy Krakowskiej ogień rozprzestrzenił się na krytą słomą chałupkę znajdującą się na gruntach kościoła Świętego Ducha, dalej na Krakowskie Przedmieście, gdzie zrównał z ziemią budynki, stodoły i ogrodzenia, a także sam kościół i szpital. A ludzie?

Klonowic pisał, że przez całą noc słychać było w mieście płacz i krzyk, wycie i szczekanie psów, rżenie koni, kwiczenie świń. Nastrój ogólnej paniki potęgowały jeszcze inne, bliżej niesprecyzowane dźwięki. Wielu ludzi, zwłaszcza starcy i dzieci, spaliło się żywcem, inni udusili się dymem lub zginęli pod gruzami budynków, kryjąc się w piwnicach. Ocalali w pośpiechu uciekali z miasta. Lublin pustoszał. Wszędzie walały się zwłoki ludzi, psów i świń. Strat poniesionych w efekcie lubelskiej pożogi nie sposób było oszacować.

Dlaczego w ogóle doszło do tego pożaru?

Przyczyną pożaru były... placki. Tej nocy w domu Kołaczniczków pełną parą szły przygotowania do porannego odpustu na św. Stanisława. Gospodyni domu, Jadwiga, smażyła właśnie placki na oleju, kiedy to od nieszczelnego przewodu kominowego zajął się dach jej domu. Płomienie błyskawicznie rozprzestrzeniły się na budynek stojący na rogu ulicy Grodzkiej 16. Fala ognia przeniosła się na sąsiednie domy, a dalej na całe miasto w murach, skąd przedostała się na Krakowskie Przedmieście, zajmując wszystko na swojej drodze, aż po klasztor Brygidek.

Czy ten wypadek był przestrogą dla mieszkańców Lublina?

Nie. Chyba nawet nie bardzo wiedzieli, jak się przed nimi uchronić. Już w 1653 roku w pożarze ucierpiała lubelska fara, kolejne miały miejsce w 1702 i 1710 roku. Do niecodziennego zjawiska doszło w trakcie czerwcowego pożaru z 1719 roku. Pożogę wywołała szalejąca burza.

Pioruny raz po raz uderzały w miejskie zabudowania, wznecając nowe ogniska. Gdy wydawało się, że nic już nie jest w stanie powstrzymać kataklizmu, do akcji wkroczyli dominikanie: Szukając pomocy w Bogu, szepcząc modlitwy, ruszyli z procesją naprzeciw żywiołowi. O dziwo, ogień opanowano. Cud przypisywano cudownej mocy relikwii Krzyża Świętego. Obraz przedstawiający to wydarzenie można dzisiaj zobaczyć w kościele Dominikanów przy ulicy Złotej. Każdego roku, w rocznicę wybuchu pożaru, Lubelska Trasa Podziemna organizuje inscenizację tego wydarzenia. Kolejny pożar w mieście miał miejsce w 1768 roku. Podczas odbijania Lublina przez wojska rosyjskie z rąk konfederatów barskich, wspierające Rosjan oddziały kozackie podłożyły ogień pod dwa domy w okolicy pałacu Sanguszków. W efekcie rozprzestrzeniający się pożar pochłonął sześćdziesiąt domów, sześć pałaców i kościołów, a także klasztor Bernardynek. Rok później burza zniszczyła wieżę kościoła św. Michała. W marcu 1790 roku na Krakowskim Przedmieściu spłonęło blisko dwadzieścia domów – w tym przypadku ogień zaprószyli złoczyńcy. Dziewiętnasty wiek nie przyniósł większych zmian. W 1803 roku wybuchła pożoga trwająca blisko dwa tygodnie. Zniszczeniu uległa większość zabudowy Krakowskiego Przedmieścia, a także Korce, klasztor Karmelitanek z biblioteką i zabudowania klasztoru Jezuitów. Ogień dotarł też do miasta właściwego. Wtedy po raz kolejny w historii wykorzystano zniszczenia, by wprowadzić do miasta nowy styl architektoniczny. W 1823 roku ogień strawił gmach Poczty Głównej, a w 1831 roku w wyniku wybuchu składu amunicji na Tatarach zajęta się zabudowa lubelskich okolic, w tym Kalinowszczyzna. Pożar z 1856 roku zniszczył gminę żydowską na Podzamczu i synagogę Maharszala, którą odrestaurowano i oddano do ponownego użytku dopiero w 1864 roku. Mniejsze pożary miały też miejsce w XX wieku, jednak, pomijając okres wojen, nie zagrażały miastu i jego mieszkańcom w takim stopniu, jak miało to miejsce w poprzednich wiekach. Czy to znaczy, że nie robiono nic, aby im zapobiec?

Oczywiście próbowano, tylko nie zawsze przynosiło to spodziewane efekty. Już Sebastian Klonowic zwracał uwagę, że warto ustanowić w mieście strażę nocne, które informowałyby o płomieniach już w pierwszych chwilach, a także zająć się kwestią wodociągów, aby do miasta mogła docierać bieżąca woda. Były to bardzo ważne spostrzeżenia – w jaki sposób mieszkańcy mogli bowiem ugasić płomienie, jeśli w mieście nie było wody? Postulaty Klonowica przeszły bez echa. Wodociągi zlikwidowano ostatecznie w 1673 roku, a głównym źródłem wody pozostały jedynie okoliczne stawy i podratuszowa studnia. Magistrat lubelski zainterweniował w tej sprawie dopiero w dobie reform stanisławowskich. W kwietniu 1792 roku wydano wiele rozporządzeń przeciwpożarowych. Kominarze lubelscy zostali zobowiązani do comiesięcznego czyszczenia kominów i wyskrobywania z nich sadzy. Informacje o zepsutych lub źle wyprowadzanych kominach, a także listy osób opierających się przymusowemu czyszczeniu, miały niezwłocznie docierać do dozorców cyrkulowych. Nakazy te nie ominęły też żydowskiej części miasta. W XIX wieku zakazano stosowania dachów słomianych, drewnianych i chrustowych oraz wylepianych gliną kominów. Niestety, zmiany na lepsze dotyczyły tylko miasta właściwego i nie objęły przedmieść.

## Wspomnienia 13:

Nie należy zapominać o okresach nieurodzajów oraz powodziach, które także powodowały głód. Miasto zostało podtopione co najmniej siedem razy: w 1621, kiedy to „młyn nie mógł mleć”, 1622, 1909, 1922, 1940, 1947 i 1964 roku. Do powodzi doszło w marcu 1947 roku, w okresie roztopów. Z powodu obfitej w śnieg zimy wylewające rzeki niemal całkowicie zatopiły miasto. Powódź z 1964 roku stała się pretekstem do budowy Zalewu Zemborzyckiego wraz z tamą. Powodzie w Lublinie występowały więc rzadko, a ich rozmiar był stosunkowo niewielki.

Dwudziestego lipca 1931 roku przez Lublin przewiął się huragan, i to nie byle jaki, bo siła wiatru przekraczała wówczas 369 km/h. Wichura zniszczyła grube mury budynków i konstrukcje żelazne, zerwała dachy z domów. Wiatr zdołał nawet przewrócić ciężkie wagony kolejowe i zburzyć komin w młynie Blachmana. Nie obyło się bez rannych i ofiar. I choć wydarzenie to było tragiczne w skutkach, stanowiło raczej ewenement.